

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostataich.

26

— Pan nawet pewnie nie wie, panie Kazimierzu... pan sobie nie przypomina, ile to lat ja już pana znam z widzenia. Ja byłam jeszcze taką młodzieńką dziewczyną, a pan akademikiem... A może pan pamięta, co?

— Może... może... tak mi się coś zdaje, ale doprawdy że...

Stefa roześmiała się wesoło. Nie miała do niego żalu o to, że nie pamiętał.

— Rozumie się, gdzieby tam pan miał pamiętać... Ja... ja to co innego... Pan zachodził nieraz do naszej masarni po wędlinę... ja już zawsze tak robiłam, żebym to ja pana mogła obsłużyć... I wędlina była najładniejsza... i waga dobra... bardzo dobra...

Uśmiechała się błogo, przejęta szczęściem i dumą. Życie zbliżyło ją do tego cudnego panicza, o którym śniła tajemnie już wtedy, gdy własnoręcznie za ladą masarni ojca krajała głowizny, kielbasy i salcesony, patrząc na niego jak na świetlane zjawisko z innego, wyższego, niedostępnego dla takiej Burczykiewiczówny świata.

Rawiczowi to odrzebywanie wspomnień, zatałujących zapachem wędliny, nie było smacem, bo skrzywił się wyraźnie.

Tymczasem jednak Stefka niespostrzegła jego niezadowolenia i byłaby brnęła dalej, gdyby jej nie przerwał lokaj, który oznajmił, że podano do stołu.

— Nareszcie! — odetchnął Rawicz i poszedł za Stefką do jadalnego pokoju.

Przy stole przezydowała wystrojona Burczykiewiczowa ze swoją wiecznie zakłopotaną miną. Ukradkowe spojrzenia rzucała na krzątającego się bezszelestnie lokaja, a we wzroku jej duma mieszała się z żalem.

Pięknie to jest mieć takiego lokaja, co wygląda sam jakby jaki hrabia, ale żeby znowu tyle takiemu drabowi płacić.

Potem oczy jej utonęły w śnieżnej bieli obrusa i „wojenna” milionerka westchnęła cicho. Co dzień świeży obrus!... Co to za zbytki teraz, kiedy mydło takie drogie!

Rawicz musnął ustami rękę pani domu i zajął obok niej miejsce. Stefa usadowiła się naprzeciw, bo w ten sposób mogła bez przeszkody wpatrywać się w Kazimierza i obserwować wszystkie jego ruchy.

Młodsze pokolenie Burczykiewiczów, wymuszone przez Stefkę i ojca, na widok gościa robiło układowe miny.

Na gospodarza czekali jeszcze chwilę. Ukazał się wreszcie w towarzystwie mężczyzny średniego wzrostu, którego cała postać tchnęła typową elegancją wiedeńskiego kupcyka.

— Pan doktor Rawicz, bardzo uczony profesor — przedstawiał Burczykiewicz — pan Maks Metzger, przedstawiciel wielkiej agencji handlowej z Wiednia.

Złotawe, lekko zaczerwienione, przebiegłe oczy Wiedeńczyka ogarnęły w jednej chwili Rawicza od głowy do stóp. Przedstawiciel wielkiej agencji handlowej uśmiechnął się nader uprzejmie i wyciągnął małą, chudą rękę, na której błyszczało kilka pierścionków.

— Sehr angenehm, Herr Doctor.

Rawicz zaledwie końcami palców dotknął dłoni nowego znajomego. Pan Maks Metzger nie podobał mu się od pierwszego wejrzenia.

— Herr Doctor kennen Wien? — zapytał wiedeński handlowiec, przelknawszy kilka łyżek doskonałej zupy.

— Owszem, znam Wiedeń! — odparł Rawicz po polsku.

— O! o! — zdziwił się Burczykiewicz — To pan taki uczony, a pan nie umie po niemiecku?

— Po niemiecku umiem, ale przypuszczam, że ten pan rozumie po polsku. My Polacy, jak jedziemy do Wiednia, to staramy się tam mówić po niemiecku... Dlaczegożby to samo nie miało obowiązywać i Wiedeńczyków.

Wiedeńczyk rzucił ukośne spojrzenie na Rawicza i nie rzekł nic. Natomiast Burczykiewicz kręcił głową i dziwił się coraz mocniej:

— Tego to ja, panie, nie rozumiem... Żeby po niemiecku umieć, a nie gadać... Przecie nie-

miecki to grunt wszystkiego kształcenia... Po niemiecku to do ministra i do cesarza... Bez niemieckiego urzędnikiem nie zostaniesz, na koleję cię nie przyjmą.

— Ależ tato, przecież pan Kazimierz wie lepiej, co i jak... — wtrąciła pospiesznie Stefa, widząc, że na czołe Rawicza tworzy się głęboka fałdka.

Burczykiewicz nie pozwolił zbić się z tropu i ciągnął dalej:

— Ja właśnie chcę sprowadzić do dzieciaków Niemkę z samego Wiednia... Niechby się wyedukowały w niemieckim.

— To się wiel — zaaprobowała projekt męża Burczykiewiczowa.

Kąty ust Rawicza ściągnęły się w dół pogardliwą ironią. Nie odezwał się wszakże, nie próbował przekonywać Burczykiewiczów. Wyrzucił jego twarzy aż nadto odzwierciedlał myśl: Co ja z wami będę gadał?

Pojęcia Stefy o znaczeniu języka niemieckiego i jego stosunku do polskiego społeczeństwa były nader wątpliwe. Nie miała ona w tym kierunku żadnego zdania, ale gotowa była przyjąć z góry, że słuszność ma zawsze „pan Kazimierz”.

A że czuła i widziała, iż to, co mówi ojciec, bardzo nie podoba się jej pięknemu młodzieńcowi, więc ogarniał ją gniew na własną rodzinę... Jak oni mogą sprzeczać się z nim, z takim mądrym, uczonym, chyba najmądrzejszym, najuczciwszym na całym świecie!

Skwapliwie nalała Rawiczowi na talerz ogromną porcję doskonałej potrawy z móżdżków cielęcych.

— Proszę, niech pan je... Tak przyrządzone jak pan lubił — zachęcała, usiłując mu spojrzeć w oczy — Z pieprzem i z cebulką przysinażona... Sama dopilnowałam.

Rawicz jadł, jadł nawet z apetytem, ale nie rozchmurzał się, oczu od swego talerza nie podnosił i w rozmowie żadnego już prawie nie brał udziału.

Kobiety i dzieci milczały także. Jedynie gospodarz domu i jego wiedeński gość rozprawiali żywo o interesach. Przypuszczenie Kazimierza, że pan Maks Metzger rozumie po polsku, okazało się słusznym. Nie tylko bowiem rozumiał, ale i mówił zupełnie płynnie, z charakterystycznym wschodnio-galicyskim akcentem.

— Pewnie ten wiedeński agent pochodzi z Kołomyi albo z Buczacza... — pomyślał Rawicz, rzucił niechętne spojrzenie na Metzgera i... zatopił nóż w białej, kruchej piersi indyka.

— Czy pan się gniewa, panie Kazimierzu? — zapytała cicho Stefa, pochylając się ku niemu. Głos dziewczyny miał tony słodkie i pokorne.

— Ale skądże znowu... Nie gniewam się wcale! — odrzucił trochę niecierpliwie.

Uśmiechnął się jednak. Poczucie bezwzględnej panowania nad tą duszyczką kobiecą sprawiło mu przyjemność. Zwłaszcza, że... przypominał sobie znowu fabliczkę mnożenia. Uśmiechnął się raz jeszcze i przeszył Stefę jednym ze swoich przejmujących, zabójczych spojrzeń wytrawnego zjadacza serc niewieścich.

Dziewczyna pokraśniała mocniej. Twarz jej rozświeciła się szczęściem.

Ale uśmiech prędko zniknął z warg Kazimierza. Z pochyloną głową, przymrużonymi oczyma, z chmurą na czołe jadł i słuchał rozmowy Burczykiewicza z Metzgerem. Słowa ich brzęczały mu koło uszu, jak nairtne, kaśliwe muchy.

Ci dwaj, uważając go widocznie za kompletnie „swojego”, nie krępowali się wcale i otwarcie omawiali wywóz ogromnych ilości wędlin, słoniny i innych towarów spożywczych do Wiednia.

Kłócili się przytem trochę. Burczykiewicz żądał bardzo wysokich cen, podnosząc swoje ryzyko. Metzger targował się, ale ostatecznie ustępował.

— I jeszcze pięćset kilo wieprzowej kielbasy — zapisywał w swoim notesie agent.

— A jak złapią — ozwał się z lekkim wahaniem w głosie Burczykiewicz.

— Co za gadanie! nie złapią. Czy to pierwszy raz?

— Podobno pilnują teraz więcej...

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się agent. — Pan jesteś sobie dobry! Pilnują! ale tych, co wywożą w paczkach i forebkach, ale nie tych, co wywożą wagonami. Kto teraz z Galicyi nie wywozi? Kto nie robi interesów? Chyba taki, co już całkiem nie może.

— A pewnie. Chyba głupi nie zbijałby majątku, jak jest okazywa. Taka wojna to raz jest. I już trzy lata trwa.

— A niech sobie trwa... my jej nie przeszkadzamy — śmiał się znowu Metzger.

— Tato, kiedy na wojnie tyle ludzi ginie — odezwała się nagle Stefa.

— To i cóż? jedni gniją, drudzy żyją — oświadczył z naiwnym cynizmem Burczykiewicz — a czy nam to źle przez to wojnę?

Z dumą potoczył oczyma po swojej z przeplechem urządzonej sali jadalnej, spojrzawszy na swoje wystrojone dzieci i żonę i ze smakiem zabrał się do leguminy, którą mu właśnie podał jego elegancki lokaj.

Kazimierz Rawicz podniósł z nad talerza głowę. Już nietylko między brwiami miał zmarszczkę, ale całe piękne czoło śladowane potężnie.

Stefa przestała jeść z przerażenia.

— Poco oni przy nim gadają o takich ordynarnych interesach? Dla niego toby trzeba prowadzić jakąś „substelniejszą” rozmowę!

— Proszę tato — zaczęła pojednawczo, ale Rawicz przerwał jej pytaniem, które brzmiało sucho i ostro:

— Czy państwo nikogo nie macie na froncie?

Burczykiewiczowa jakoś żałośnie pociągnęła, jakby się jej nagle na płacz zebrało.

— A jest tam brat żony na włoskim froncie, kto wie, czy żyje jeszcze biedaczysko — mruknął Burczykiewicz.

— A czy ten pański szwagier ma żonę i dzieci?

— A jakże. Czwooro dzieci.

— Prawdopodobnie więc ta jego rodzina takżeby chciała czasem skosztować słoniny lub kielbasy wieprzowej. A tymczasem, jeśli wszystko pójdzie do Wiednia... — zakończył ze spokojną ironią Rawicz.

— No, dla swoich najbliższych zawsze coś zostanie. A interes interesem.

— A my dobrze, bardzo dobrze płacimy — odezwał się Metzger.

Widocznie jednak słowa Rawicza poruszyły jakąś lepszą stronę w duszy spekulanta-masarza, bo przez długą chwilę szarpał w namyśle swoje twarde wasy, a potem rzekł:

— To, możeby te Wiedniaki miały dość i połowę. Cośby ta człowiek i tutejszym sprzedał, niechby już z mniejszym zarobkiem.

Agent zachmurzył się.

— To nie jest po kupiecku, panie Burczykiewicz. Albo robimy interes cały, albo nie robimy. Jak pan nie chce, to nam to załatwi ktoś inny.

— Aha! pewnie ten parch Goldbaum! Te żydy to...

Metzger skrzywił się niechętnie i schował notes do kieszeni.

— Wszystko jedno kto. Niech się pan decyduje. Interes zrobiony czy nie?

— Zrobiony! — zgodził się Burczykiewicz, pokonany stanowczością agenta.

— No, to dobrze. To my jeszcze o czemś innym pogadamy. Pan na tem zarobi gruby pieniądze.

— Metzger przysunął się z krzesłem bliżej do Burczykiewicza i jał mówić mu coś przyciszonym głosem. Na Rawicza spoglądał niekiedy z ukosa. Widocznie nie dowierzał mu już.

Kazimierz zasłyszawszy z tej rozmowy tylko oderwane słowa: „deklarować jako szkło... Oświęcim... niemiecka komenda... dwieście wagonów...” Miał ochotę zakląć, zerwać się, cisnąć kosztownym talerzem o ziemię i uciec z tego gniazda drapieżnych kruków, szarpiących w pogoni za milionami, skrecone z głodu wnętrzności ofiar wojny. Ale nie zaklął, nie zerwał się, nie rozbił talerza, nie uciekł.

Siedział przy stole i z wściekłą pasją zjadał przepyszny tort czekoladowy. W głowie szumiały mu ostrzegające słowa Wacławy, a ten „drugi” ukryty głęboko gdzieś na dnie duszy drwił Drwił bezlitośnie...

VII.

Samotne dusze.

Panna Julia Ożarska zaczerwieniona z mrozu, z niewielką teczką, pełną zeszytów i książek pod pachą, weszła do lokalu „Kuchni obywatelskiej”.

Od godziny ósmej rano biegła z lekcji na lekcję, przebiegła do szpiku kości w swojej lichej szubce, podobnej jakimś nędznym, mocno wytartym futerkiem i wygłodniała straszliwie,

(Ciąg dalszy nastąpi).